Nr. 8. Kraków, Sierpień 1917. Rok XI.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
Kraków,
ul. Franciszkańska 3

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TRESC NUMERU VIII-go:

Czy trwały pokój jest możliwy na świecie.

Jakkolwiek nie możemy zapominać o grzechu pierworodnym i jego skutkach, to przecież powinniśmy mieć nadzieję, że „Królestwo Boże“ może zapanować na świecie i że może istnieć trwały pokoj pomiędzy narodami. Nad urzeczywistnieniem tego programu, to jest nad wprowadzeniem powszechnego pokoju, powinni pracować wszyscy katolicy. To jest również programem obecnie panującego Ojca św. Benedykta XV. Niedawno, bo 5 maja pisał on do kardynała sekretarza stanu: „A przecież nasza nadzieja jest niezachwiana“.

Trwały pokój na świecie może zaprowadzić tylko Chrystus Pan i Jego Kościół. „Królestwo niebieskie podobne jest kwasowi, który wziąwszy niewiasta włożyła do rozczynionej mąki aż wszystka skwaśniała“, mówi Boski Nauczyciel. Któż mógłby twierdzić, że ów kwas ewangeliczny nie będzie miał tyle siły, ażeby ludzkość pomału tak przemienić, ażeby ona powstające wskutek grzechu pierworodnego spory i niezgody, zamiast gwałtem i mieczem, załatwiała raczej drogą wzajemnego porozumienia się i ugody? Ktoby upierał się przy tem, że wojny ze wszystkiemi swojemi okropnościami muszą istnieć aż do końca świata, ten musiałby również konsekwentnie przyjąć, że nieuniknione są ciągłe rewolucye wewnątrz państw. A jak my jednakowoż odrzucamy rewolucyę i przyjmujemy za pewnik, że w chrześcijańskim ustroju państw lud przychodzi do swoich

praw nie drogą gwałtu i rewolucyi, lecz drogą prawną, tak samo wierzymy, że nauka katolicka tak ukształtuje sumienie ludów, że pomiędzy narodami zniknie prawo pięści, a zapanuje zasada słuszności i sprawiedliwości.

To smutne zapatrywanie, że ludzkość nie wyzwoli się nigdy z wojen, nie powinno mieć miejsca między chrześcijanami. Takie ponure i czarne zapatrywanie nie godzi się z nauką Ewangelii, to jest „dobrą nowiną". Zapewne, że „Królestwo Boże" nie urzeczywistni się nigdy w całej pełni na tej ziemi i że łaska Boża nie odniesie zwycięstwa w sercach wszystkich ludzi, gdyż inaczej Chrystus Pan byłby nie zapowiadał sądu ostatecznego i wiecznych kar piekielnych dla złych, ale pomimo tego, któż z chrześcijan katolików mógłby twierdzić, że Królestwo Chrystusowe nie będzie się coraz bardziej utrwalać na obliczu ziemi i że my nadarmo wołamy do naszego Ojca niebieskiego „Przyjdź Królestwo Twoje"?!... Któż śmiałby przypuszczać, że łaska Boża nie odniesie zwycięstwa w sercach większości chrześcijan, że nie znajdzie się nigdy tyle ludzi „dobrej woli", ażeby pomiędzy narodami katolickimi nie mógł zapanować trwały pokój? Znamy wprawdzie potęgę grzechu, ale wierzymy przecie, że większa jest potęga łaski Bożej. Dlatego musimy przyjąć, że łaska Boża odniesie kiedyś zwycięstwo wśród ludzkości, że większość ludzi nie będzie się opierać działaniu łaski, inaczej bowiem musielibyśmy przypuścić, że Syn Boży umarł tylko za małą garstkę wybranych. Tak więc trzeba przypuszczać, że łaska Boża zwycięży nie tylko w życiu pojedynczych ludzi, ale także w życiu narodów. Ojciec św. Benedykt XV. ogłosił program pokojowy, to jest ażeby drogą porozumienia się, a nie drogą wojen i przemocy ludy doszły do wzajemnego pojednania się, i ten program mógłby być prędzej urzeczywistniony, aniżeli to przypuszczamy, byleby wszyscy katolicy wszystkich krajów współdziałali z tem rzuconem hasłem i dopomogli do zwycięstwa łasce Bożej.

Chrystus Pan powiedział: „Ufajcie, jam zwyciężył świat". Mamy więc ufać nie tylko w końcowe pozagrobowe zwycięstwo dobrego nad złem, ale że również już na tem świecie dobre nad złem odniesie zwycięstwo.

Dobroczyńca ludzi.

Troskliwy o postęp swój uczeń przejmuje się zasadami i duchem swego nauczyciela, — i czasem nawet bezwiednie — wprowadza w życie naukę, którą zaczerpnął u mistrza swojego. Prawdziwy uczeń Chrystusa musi być przejęty duchem Chrystusowym tak dalece, iżby go po nim można było poznać i odróżnić od tych, którzy nie uczęszczali do szkoły Zbawiciela.

Znakiem charakterystycznym ucznia Chrystusa jest miłość bliźniego, jak to sam P. Jezus stwierdza, mówiąc: „Po tem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu" (Jan. 13, 35). I zaiste miłość ku ludziom — spręźyną jest wszystkich czynów Jezusa, wszystkich Jego cierpień, upokorzeń, wysiłków, samej nawet śmierci na krzyżu. Wszak dla zbawienia naszego, a zatem z miłości ku nam, zstąpił P. Jezus z niebios na ziemię.

Miłość bliźniego postawił P. Jezus na równi z miłością Boga i żąda jej bezwzględnie od każdego ze swoich uczniów. Uczucie to tak silnie jest zakorzenione w Najsł. Sercu Jezusowem, że P. Jezus każdą krzywdę, wyrządzoną bliźniemu, uważa za swoją własną, każdy uczynek miłosierny za dobrodziejstwo Jemu Samemu wyświadczone. Wszak z głębi Najsł. Serca Jezusowego, przepełnionego miłością ku ludziom wyszło wielkie ono słowo: „Pókiście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili (Mat. 25, 40). Oto po drodze do Damaszku pędzi na koniu Szaweł, prześladowca chrześcijan, pałający nienawiścią ku owczarni Chrystusowej. W tem nagle, olśniony światłością z nieba, pada Szaweł na ziemię i daje się słyszeć głos, przenikający do duszy: „Szawle, Szawle, czemu mnie prześladujesz?" A kiedy przerażony Szaweł pyta: „Ktoś ty jest, Panie?" odsłania się jemu tajemnica Chrystusowej miłości ku wiernym: „Jam jest Jezus, którego ty prześladujesz" (Dzieje Ap. 9, 1—5). Szaweł prześladuje tylko chrześcijan, ale Jezus czuje się prześladowanym we własnej osobie, miłość bowiem spaja Go z ludźmi niejako w jedną osobę. Czytamy w żywocie św. Marcina, że we śnie pokazał mu się P. Jezus, odziany połową płaszcza, którą ten święty darował biednemu żebrakowi, i rzekł: „Tym to płaszczem dziś mnie Marcin przyoblókł". Tak to Najsłodsze Serce P. Jezusa odczuwa wszystko, co czynimy dla bliźnich naszych, jakbyśmy to Jemu Samemu uczynili.

Przez całe swe życie P. Jezus przeszedł, dobrze czyniąc (Dz. Ap. 10, 38) ludziom. Apostołom i uczniom swoim udziela, co ma najdroższego, mianowicie: niebiańską swą Mądrość, naukę; z niepojętą dobrocią i miłością usuwa z ich serc błędy i ułomności, próżną chwałę, zazdrość, chęć zemsty; wszczepia w nich mozolną pracą cnoty apostolskie, uczy wyrzeczenia się majętności, umartwienia, zaparcia siebie, pokory, pracowitości, cierpliwości wśród cierpień i prześladowania. Jakąż serdeczną miłością otacza swoich zwo-

lenników, jak zapobiega nawet doczesnym ich potrzebom, bojaźliwym dodaje odwagi, strapionym użycza pociechy, podnosi na duchu wątpiących! Jakżeż wyrozumiałym jest wobec ludzkich przewinień, jak przyjacielskim wobec Łazarza i sióstr jego, jak serdecznym względem drobnych dziatek! Największym wszakże blaskiem jaśnieje dobroć i miłość Najsł. Serca Jezusowego wśród nędzy ludzkiej. Tu jest właściwe pole dla Serca tego dobrego Samarytanina. Wszystkie prawie cuda P. Jezusa mają na celu uzdrowienie chorych, wypędzenie szatanów, wskrzeszenie umarłych. Nawet dla najdrobniejszych potrzeb ludzkich nie szczędzi P. Jezus cudu, jak to widać z przemienienia wody w wino na godach Kananejskich. Pod ręką kochającego Zbawiciela wszystko staje się cudownem, kiedy idzie o wspomaganie bliźnich: Jego ubranie, Jego ręka, nawet ślina Jego, z prochem ziemi zmieszana, leczy ślepo-narodzonego. Zdawało się, że w miasteczkach i wsiach, przez które P. Jezus przechodził, przy odejściu Jego nie było już żadnego chorego ani cierpiącego. Wszystkich leczył, wszystkich uzdrawiał i pocieszał ten niebieski Lekarz, wszędzie rozbrzmiewało Jego słodkie wezwanie: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę“ (Mat. 11, 28).

Widziałeś już nieraz obraz dobrego Pasterza, który zbłąkaną owieczkę dźwiga na własnych barkach swoich i odnosi do owczarni, pełen szczęścia i radości z jej odnalezienia. Oto obraz niepojętej miłości Chrystusa ku grzesznikom. Pan Jezus nie pogardza tymi najbiedniejszymi z nędzarzy, nie odpycha ich od Swego Najsł. Serca, ale idzie za nimi, stara się spotykać z nimi, zachęca ich i napełnia odwagą, przyjmuje ich jak najłaskawiej do Siebie. Dla nich opowiada najbardziej wzruszająco podobieństwa: o synu marnotrawnym; o niewieście, radującej się ze znalezionego grosza, który była straciła; o pasterzu, opuszczającym dla jednej owieczki dziewięćdziesiąt dziewięć innych, a szukającym zgubionej, dopóki jej nie znajdzie (Łuk. 15).

A kiedy grzesznik nawraca się, Serce Jezusa otacza go najserdeczniejszą przyjaźnią i przywraca mu swą miłość w całej pełni, jak to widzimy na przykładzie św. Piotra i św. Magdaleny.

Wspaniały to wzór miłości bliźniego, pochodzący z głębi Najsł. Serca Jezusowego, bo ta miłość P. Jezusa nie jest tylko zewnętrzną, ale to prawdziwa, wewnętrzna cnota, oparta na najświętszych pobudkach, na podobieństwie naszem nadprzyrodzonem do Boga i na wspólnem synostwie Ojca Niebieskiego.

Czcicielu Boskiego Serca Jezusowego, zaliczałbyś się napróżno do uczniów tego najmiłościwszego Serca, napróżnobyś pukał do Jego miłosierdzia, jeżeli serce twoje jest zimne i nieczułe na potrzeby bliźniego. Pan Jezus tylko takich uznaje za prawdziwych uczniów Swoich, tylko takich z miłością przytula do Najsł. Serca Swego, którzy przez dobre i miłosierne uczynki starają się naśladować wiernie Najsł. Jego Serce, pełne niewyczerpanej dobroci i słodyczy.

(Ks. Matzel. Serce Jezusowe).

Miasto a wieś w czasach dzisiejszych.

Na pierwszy rzut oka miasto, zwłaszcza większe, nie przedstawia tak smutnego widoku, jakby się to mogło komuś wydawać. W większem mieście znajduje się spora liczba ludzi bogatych, którzy pomimo wszystkich trudności potrafili zaopatrzyć się w środki żywności, znajduje się znaczna liczba oficerów na urlopie lub w służbie etapowej, wielka liczba rozmaitych dam, to znowu ludzi, którzy na wojnie porobili świetne interesa i t. d. Ci wszyscy nie krępują się niczem, mogą na wszystkie strony rozrzucać chojną dłonią pieniądze, pragną się stroić i bawić. Groza wojny nie dotknęła ich wcale. Oni też zapełniają gwarnie publiczne miejsca spacerów, zabaw, cukiernie, restauracye, piwiarnie, kina i teatry. Ktoby więc z tych pozorów sądził miasto, to nabrałby przekonania, że w mieście dzieje się wszystkim jak najlepiej.

Ale nie jest to prawdziwy obraz miasta w czasach dzisiejszych. Poza tem blichtrem zewnętrznym kryje się w wielkim mieście dużo biedy i nędzy. W mieście znajduje się dużo rodzin urzędniczych, które w czasach dzisiejszych mogą tylko z największą trudnością wyżyć i okryć się. Znajduje się dużo służby, a wreszcie ludzi utrzymujących się z dnia na dzień z pracy rąk, wreszcie i takich, którzy już pracować nie mogą. Ci wszyscy prowadzą bardzo lichy i marny żywot. Nie mogą sobie pozwolić na żadne przyjemności i zabawy. Żyją tak, ażeby tylko z głodu nie umrzeć. Wobec panującej drożyzny nie mają za co kupić sobie ubrania i obuwia. Oni to w zimie i w lecie stoją całemi godzinami w „ogonkach“ przed sklepami, ażeby z trudem zdobyć odrobinę chleba, kaszy, mleka lub ziemniaków. Bezbożni przeklinają i bluźnią. Pobożni z nich znoszą swój los z cichą rezygnacyą i chrześcijańskim spokojem lub zapełniają świątynie i modlą się gorąco do Boga. Wszyscy oczekują gorączkowo pokoju, a pokój nie nadchodzi i nie nadchodzi!... Dlatego wielu z nich umiera ze smutku, z wycieńczenia i z zimna. Suchoty porywają teraz w mieście tysiące ofiar.

Gorzej jeszcze przedstawia się los dzieci. Starsi ludzie i tak są przecież bardziej wytrzymali na biedę i niewygody, ale dzieci tem bardziej odczu-

ją te anormalne czasy. Młodsze nie mają mleka, a wszystkim brakuje dostatecznych środków żywności. Dlatego dzieci w miastach są teraz blade, wynędzniałe i chorowite. Brakuje im naturalnej i zwyczajnej wesołości. Żywemi, dziecięcemi oczyma spoglądają smutno na świat Boży i czynią smutne wrażenie.

Jeżeli u ogółu ludzi w miastach było mniej miłości Bożej, mniej pobożności i ducha modlitwy, a więcej lekkomyślności, jeżeli w wielkich miastach działo się i dzieje wiele obrazy Boskiej, to możemy powiedzieć, że ludzie w miastach żyjący cierpią teraz daleko więcej, aniżeli mieszkańcy wsi.

A cierpienia te rosną tem bardziej, im dłużej przewleka się wojna. Jest w tem również dziwne zrządzenie Opatrzności Boskiej. Gdyby wojna trwała była tylko kilka miesięcy, tak jak to ludzie z początku sobie obiecywali, mieszkańcy miast śmialiby się byli z wojny.

Inaczej zawsze przedstawiała się wieś. Tam nie było i niema nigdy rażącej różnicy między bogatymi a ubogimi i w sposobie życia i ubierania się. Ludzie na wsi prowadzą życie więcej pracowite, poważne i bogomyślne. Żywią się zazwyczaj tem, co im zrodzi ziemia, matka-żywicielka. Ponieważ ludzie na wsi nauczeni byli od wieków przechowywać na zimę i na cały rok te produkta, które im wydaje ziemia, dlatego czynili i czynią to samo w czasie wojny. Wojna daje się im też z tego względu mniej we znaki. Pomimo ciągłych przemarszów wojsk i pomimo ciągłych rekwizycyi mają przecież jeszcze tyle, ażeby z głodu nie przymierać. Zato muszą więcej pracować, a zwłaszcza kobiety, bo brakuje mężczyzn.

Na wsi nie znajdziesz prawie ludzi, którzyby narzekali i bluźnili Bogu z powodu długiego trwania wojny. Byłoby to czemś zdumiewającem i niesłychanem na wsi. Od takiego człowieka wszyscy odwróciliby się ze wstrętem. Wszyscy widzą w wojnie straszną karę Bożą, a że podczas przemarszów wojsk widzieli dużo ludzi bezbożnych i złych, to to jeszcze bardziej utwierdziło ich w tem przekonaniu, że wojna jest straszną ale zasłużoną karą Bożą za rozwielmożnione grzechy ludzkie. Wszystkie nieszczęścia znoszą z poddaniem się woli Bożej. Wojna zbliżyła ich jeszcze bardziej do Boga, modlą się goręcej i przystępują częściej do św. Sakramentów.

Pod tym zewnętrznym pokojem kryje się na wsi dużo cichego i pięknego smutku i tragicznego bólu. Zaprawdę, że godzien jest ten smutek, ażeby opisało go pióro poetów, odmalował pędzel malarzy i zaklęło go w marmury dłuto rzeźbiarzy. Dawniej było na wsi dużo swobody i wesołości i pogodnego nastroju. Dzisiaj ta wesołość zupełnie zniknęła. Dzisiaj jest na wsi jakoś dziwnie smutno i tęskno. A dlaczego? Oto przedewszystkiem dlatego, że dużo ludzi poważnych i starszych umarło. Nie mogli przenieść, przepatrzeć i przecierpieć całej niedoli wojennej i przenieśli się do lepszej ojczyzny. A że wszyscy ludzie na wsi znają się od dziecka, dlatego ich brak teraz bardzo boleśnie się odczuwa. Pozostałym zabrakło ich rozwagi, rozumu i doświadczenia. Dlatego jest smutno bez nich. — Następnie uderza na wsi brak mężczyzn. Pozostały prawie same kobiety. Na każdym kroku odczuwa się dziwną pustkę, widzi się, że w każdym domu brakuje to ojca, to kilku synów. Myśl ciągle ulatuje gdzieś za nimi! Matki, żony i dzieci ciągle myślą, co się też dzieje z ich najukochańszymi. A ta tęsknota, ten smutek przebija się w każdem spojrzeniu, w każdem słowie, na każdym kroku. Ci wszyscy więc z największym niepokojem i z niewysłowioną tęsknotą oczekują pokoju, a pokój upragniony nie nadchodzi. — A jest też na wsi spora liczba najsmutniejszych i niepocieszonych! To ci ojcowie i te matki, te żony i dzieci, które otrzymały już pewną wiadomość o śmierci swoich najdroższych na polu walki. Ci przeżywają teraz chwile najsmutniejsze. Żadna ludzka pociecha nie przemówi do ich serca. Ich zdoła tylko czas uleczyć, a pocieszyć tylko Bóg!... Te dusze podobne są do naszych pięknych brzóz, które rosną nad cmentarzami z obwisłymi konarami, jakby z rozpuszczonemi włosami. Dla tych smutnych dusz wojna już jakby się skończyła. Im jest obojętne wszystko, co dalej się stanie. Te dusze przeszły już w czasie wojny wielkie cierpienia, a dalszy swój los znoszą z cichą rezygnacyą, składając wszystko w ręce Boże. Ich męstwo chrześcijańskie niechaj dodaje sił małodusznym.

Odkąd zaczynać wychowanie dzieci?

Ojciec i matka mają święty obowiązek wychowywać dzieci, to znaczy, tak dziećmi kierować, by one rosły, były zdrowe i miały zapewnione utrzymanie, a szczególnie, by były cnotliwe: Bogu miłe i ludziom pożyteczne.

O wychowaniu dzieci trzeba pamiętać, zanim one jeszcze na świat przyszły. Matka powinna się wystrzegać tego wszystkiego, coby dziecku zaszkodzić mogło, zanim się ono narodzi. Ma się więc wystrzegać gniewu, pijaństwa, dźwigania, skakania. Jeżeli się tego nie będzie wystrzegała, to dziecko urodzi się kaleką albo nieżywe. Ojciec także musi wystrzegać się pijaństwa. Znam wsi, gdzie pijaństwo kwitnie. Otóż we wsiach tych jest bardzo dużo dzieci głupkowatych, albo upośledzonych na mowie, słuchu, pamięci, a przyczyną tego jest z pewnością pijaństwo rodziców. Niestety rodzice się nad tem nie zastanawiają ani się do tego przyznać nie chcą. A przecież to jest

zbrodnią, gdy dają życie dzieciom w stanie podpitym, bo dzieci pochodzące od rodziców popijających trunki alkoholowe jak wódkę, rum z herbatą, piwo i wino czynią swe dzieci nieszczęśliwemi na całe życie i mają za to odpowiedzialność przed Bogiem.

Gdy dziecko jest jeszcze maleńkie, także trzeba dbać o jego wychowanie. Takie maleńkie dziecko nieraz matką rządzi. Ile razy zapłacze, matka nie zastanawia się nad tem, czemu to dziecko płacze, ale się stara wszelkimi sposobami je uspokoić. Daje mu zatem zaraz pokarm albo choć kawałeczek cukru do ust albo je bierze i huśta albo kołysze albo wreszcie bije. Czemuż dziecko płacze? Płacze, bo mu się albo chce jeść albo je coś ugniata albo mu jest za gorąco lub zimno albo jest chore albo wreszcie rozgrymaszone. Jeżeli dziecko jest głodne, dać mu jeść, ale tego nie trzeba czynić co chwilę, tylko mieć do karmienia stałe godziny. Jeżeli jest chore, trzeba dochodzić, co mu brakuje i trzeba je leczyć. Jeżeli jest rozgrymaszone, to nie trzeba na jego płacz zważać, a gdy dziecko pozna, że płaczem niczego nie dokaże, to się uspokoi. Dziecko nie może matką rządzić, bo jak się nauczy matką rządzić w kolebce, to będzie nią rządziło i wtedy, gdy już z kolebki wyrośnie. Nie należy dziecka zostawiać samego w izbie. Były wypadki, że takie dziecko po przebudzeniu się wypadło z kolebki i skaleczyło się, albo też wszedł kot do kolebki, położył się na dziecku i zadusił je albo wreszcie świnia je zagryzła.

Matka musi być dla dziecka Aniołem stróżem. Nawet w nocy, choć dziecko nie płacze, powinna czasem zobaczyć jak leży, i jak ręce trzyma. Małe dziecko czasem samo ze sobą nauczy się bawić nieskromnie. A gdy się tego nauczy bezwiednie, to potem, gdy dorośnie, będzie to samo czyniło po kryjomu — nie bez grzechu.

Zdarza się, że dzieci nawet wtedy, gdy już dorosną, moczą łóżko. Otóż matka musi je zawczasu przyzwyczajać, by przed spaniem swą potrzebę odbyły, a w nocy je w tym celu przebudzać. Czasem jest to choroba, którą trzeba leczyć, ale dziecka za to karać nie należy. „Lekarz domowy", książka, którą napisał lekarz dr. Breyer w Krakowie, podaje na to dobre rady.

Do wychowania należy także chrzest dziecka. Źle czynią rodzice, którzy odkładają chrzest, aż dziecko podrośnie. Gdyby tak przed chrztem nagle zginęło, to kto poniesie odpowiedzialność za to przed Bogiem? W ciągu dwóch tygodni najdalej należy dziecko ochrzcić.

Ileż to razy — niestety — rodzice, zwłaszcza po miastach, stają się w tym względzie winnymi grzechu ciężkiego, trzymając dziecię bez Chrztu miesiąc i dłużej.

Jeżeli dziecko małe jest bardzo chore, a kapłana niema pod ręką, może ochrzcić każdy w domu. Polewa się w takim razie głowę dziecięcia wodą i mówi się równocześnie tak: Ja cię chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Tych słów nie wolno zmieniać, boby taki chrzest nie był ważny.

Męczeństwo Jana Chrzciciela

Gdy Jana Chrzciciela wtrącono do więzienia Herodyada, która była oddawna sprzysięgła się na jego zgubę, czekała sposobu, w jakiby można było zadać śmierć. A chcąc go zabić, bał się Heroda ludu, albowiem mieli go jako proroka. Albowiem Herod bał się Jana, wiedząc, że był mężem sprawiedliwym i świętym; i strzegł go, a słuchając go, wiele czynił: i rad go słuchał.

A gdy był dzień po temu, Herod dnia narodzenia swego sprawił wieczerzę panom i tysiącznikom i przedniejszym Galilei.

A gdy weszła córka onej Herodyady i tańcowała, i spodobała się Herodowi i społu siedzącym: rzekł król dzieweczce:

— Proś mię o co chcesz, a dam tobie.

I przysięgał jej:

— Iż o cokolwiek prosisz będziesz, dam ci, by też połowicę królestwa mego.

Która wyszedłszy, rzekła matce swojej:

— Czego mam prosić?

A ona rzekła:

— Głowy Jana Chrzciciela.

I gdy weszła z skwapliwością do króla, prosiła mówiąc:

— Daj mi tu na misie głowę Jana Chrzciciela. Chcę jej natychmiast, dajcie mi ją, proszę.

I zasmucił się król: dla przysięgi i dla społu siedzących nie chciał jej zasmucić. A posławszy kata, rozkazał przynieść głowę jego na misie.

I ściął go w więzieniu i przyniósł głowę jego na misie: i oddał ją dziewce, a dziewka oddała ją matce swej.

Co usłyszawszy uczniowie jego, przyszli i wzięli ciało jego: i złożyli je w grobie: i przyszedłszy, opowiedzieli Jezusowi.

W on czas usłyszał Heród Tetrarcha sławę o Jezusie:

I rzekł służebnikom swoim:

— Tenci jest Jan Chrzciciel: on zmartwych wstał: i dlatego cuda się pokazują w nim.

A drudzy mówili:

— Iż Eliasz jest.

Drudzy zasię powiadali:

— Iż Prorok jest, jako jeden z Proroków.

Co usłyszawszy Heród, rzekł:

— Jan, któregom ja ściął, ten wstał z martwych.

I mówił Heród:

— Jana jam ściął, a któż ten jest, o którym ja takowe rzeczy słyszę?

I starał się, żeby go widział.

A Jezus na wieść o męczeństwie Jana, oddalił się. (Cztery Ewangelie w jedno str.130).

Widzimy często, że osoby niektóre, popełniwszy jakiś grzech, stają się potem pilniejsze i uważniejsze, choć były przedtem niedbałemi i oziębłemi. Pokuta czyni to, iż są doskonalsze. Wtedy wolno powiedzieć o takiem nawróceniu, które wyniknęło z grzechu, że jest jak lekarstwo, wyciągnięte z trucizny. (Św. Ambroży).

Żadne, krzywdzące bliźniego wyrazy nie powinny znaleźć u ciebie wiary, aż dopiero po wysłuchaniu stron obu. (Św. Franciszek Salezy).

Wysoki szacunek dla Bierzmowania.

Jan Hajus Jezuita opowiada, iż Japończycy z tak pobożnym duchem Sakrament Bierzmowania przyjmują, że pewien Biskup Japoński mówił, że nigdy i u żadnego narodu chrześcijańskiego nie widział takiej miłości i pobożności i czci dla tego świętego Sakramentu jak u dobrych Japończyków.

Nie powinno zatem nas dziwić, że łaska tego Sakramentu szczególniej u Japończyków była skuteczną, i dodawała im mocy do mężnego wytrwania, wśród najokrutniejszych prześladowań.— O jak niezliczonych krwią męczenników oblaną była niwa Pańska, którą św. Franciszek Ksawery po raz pierwszy w Japonii uprawił!

Już w r. 1590, według świadectwa Puffendorfa, przeszło 20.000 Chrześcijan obojga płci częścią tam ścięto, częścią ukrzyżowano, częścią żywcem spalono.

Tem mniej dziwić nas powinno, że w naszych czasach wiara wielu Chrześcijan jest tak słabą, tak łatwą do zwątpienia, tak uległą przy najmniejszej pokusie, gdy z tak małą pobożnością częstokroć przyjmują Sakrament Bierzmowania, i odbierane przezeń łaski tak bywają lekceważone.

Unia.

Na ogromnej przestrzeni ziemi od Sanu i Bugu, aż po Dniepr, a od Karpat i czarnomorskich stepów, aż po Dźwinę, zamieszkał od wieków pokrewny Polakom lud ruski. Podobni do Polaków mową i obyczajami Rusini, różnili się od nich tylko wiarą. Aczkolwiek bowiem ochrzczeni byli w wierze katolickiej, i początkowo trzymali się wiernie jedności z Kościołem rzymskim, to jednak pod wpływem carogrodzkich odstępców, z którymi wiąże ich wspólność obrządku, z początkiem XII. wieku zerwali zupełnie związki ze Stolicą Apostolską. Przestali uznawać zwierzchniczą władzę następców św. Piotra w Rzymie, a poddali się rządom buntowniczego patryarchy carogrodzkiego. Oderwani tym sposobem od macierzystego pnia Kościoła rzymskiego, wydali się samowolnie na zgubę doczesną i wieczną.

Doczesna zguba groziła im ze strony Tatarów, którzy raz wraz wpadali w ich dziedziny i pustosząc wsi i miasta tysiące ludności uprowadzali w niewolę, a pobitych książąt zmuszali do hołdownictwa, opłacania haraczu i wojskowych wysług. Tak opanowali Tatarzy północno-wschodnią część Rusi, z której później powstało państwo Moskiewskie. Tak też uczynili z sąsiadującem z Polską Podolem, gdy pobitego księcia Daniela zmusili, aby na swej ziemi poburzył wszystkie zamki i miasta i z nimi razem przeciw Polsce wojował. A kiedy później, tak rozdrobnioną i niezgodną w sobie Ruś, w znacznej części zajął znowu litewski książę Giedymin, wówczas się zdało, że biedny naród ruski przechodząc tak z rąk do rąk, całkowicie zmarnieje. Z całej bowiem potęgi dawnych wieków do XIV. stulecia zostało mu jedno małe ksiąstewko halickie. Atoli i ono utraciło wnet swą niezależność. Skoro bowiem wygasł w niem rządzący ród książęcy, panowanie nad niem przypadło prawem dziedzictwa królowi polskiemu, Kazimierzowi Wielkiemu. Tak cała Ruś utraciła swoją niepodległość.

Odtąd jednak miało się począć jej duchowe odrodzenie. Skoro bowiem później wielka wnuka króla Kazimierza, Jadwiga, ofiarą dziewiczego serca, pozyskała Polsce Litwę, a z nią i te części Rusi, które opanował był Giedymin, wówczas już cała Ruś, z wyjątkiem owej moskiewskiej połaci, weszła w skład państwa Polskiego. I to właśnie wcielenie tego kraju do wielkodusznej Polski było dlań wielkiem błogosławieństwem. Odtąd bowiem Polska, Litwa i Ruś, jak trzy siostry, córy jednej macierzy, miały róść i potężnieć w zgodnem pożyciu ku dobru swych ludów. Najstarsza z nich Polska, przewodząc we wszystkiem względem młodszych siostrzyc, pilnie miała czuwać nad zaspokojeniem ich życiowych potrzeb. I wiernie spełniała to opiekuńcze posłannictwo. Gromiła bowiem wrogów, którzy czy to na Ruś, czy na Litwę poważyli się podnieść zbrojną rękę, zakładała w tych krajach miasta, tworząc w nich ogniska oświaty, przemysłu i handlu, zasłużonej ludności litewskiej i ruskiej nadawała przywileje swych własnych synów i wszystkiem dobrem, jakie jeno miała rzetelnie się z tem młodszem rodzeństwem dzieliła.

Pomna atoli chrześcijańskiej zasady miłości bliźniego, starała się przedewszystkiem o dobro ich dusz. Przywiódłszy pogańską Litwę do poznania

chrześcijańskiej prawdy, pilnie później zabiegała o to, aby żyjącą w odszczepieństwie Ruś, do jedności z Kościołem św. przywrócić.

To święte dzieło, poczęte jeszcze przez wielkiego chorążego polskiego narodu, św. Jacka, który z apostolskiem słowem na ustach, obiegł był i Przemyśl i Lwów i Halicz i Kijów, i wszędzie w imię Najśw. Maryi Panny do wierności Chrystusowemu Namiestnikowi lud wzywał, poprowadził dalej Kazimierz Wielki. Zakładając katolickie biskupstwa, w Przemyślu, Chełmie i Haliczu stworzył z nich ten wielki monarcha święte ogniska, które promieniejąc urokiem prawdziwie boskiego posłannictwa, budziły pośród ruskiego ludu pamięć Jackowego apostolstwa i dawnej łączności ze stolicą Chrześcijaństwa.

Mimo to jednak sprawa tego świętego apostolstwa Polski na Rusi szła nadzwyczaj powoli. Wprawdzie wielu z pośród szlachty ruskiej porzuciło pod jego wpływem schizmę i do jedności z Kościołem św. powróciło, ale ogół trwał dalej uparcie w ciemnocie odszczepieństwa. Wierna jednak swemu posłannictwu Polska nie ustawała w zbożnej pracy.

Chcąc koniecznie dla Kościoła św. pozyskać Rusinów, przedstawiła przez swych wysłanników Stolicy Apostolskiej wniosek ponownego potwierdzenia im wschodniego obrządku. Ówczesny Papież, Klemens XIII., z radością przyjął wieść o dokonywaniu się sprawy, o którą już od tylu wieków daremnie zabiegano. Spodziewał się bowiem, że nawrócenie Rusinów będzie początkiem nawrócenia wszystkich odszczepieńców: Moskali, Greków, Bułgarów i Serbów. Ochotnie przeto przystał na postawione warunki, i świętemu dziełu serca pobłogosławił.

Nie ziściły się wprawdzie pobożne nadzieje Ojca Chrześcijaństwa względem owych ludów. Dokonała się jednak święta sprawa z tymi, którzy pod macierzyńską opieką Polski zostawali. W r. 1596 zjechali się do Brześcia litewskiego wszyscy biskupi ruscy ze swym metropolitą, Michałem Rahozą na czele i wobec przedstawicieli Stolicy Apostolskiej, tudzież pełnomocników króla Zygmunta III., odnowili uroczyście akt jedności z Kościołem rzymskim. Dokonał się wiekopomny czyn! Po pięciu wiekach odszczepieństwa dwie trzecie ludu ruskiego powróciły na łono Kościoła, by w świętej z nim wspólnocie zbawiać swe dusze.

Utrwalenie tego świętego dzieła, poczętego w Brześciu, wymagało jednak jeszcze tego, w czem się dokonywał zawsze wzrost Kościoła, tj. męczeństwa i pomocy z Nieba.

Dwóch biskupów ruskich, lwowski i przemyski, podjudzonych przez obrażonego w swej dumie księcia Konstantego Ostrogskiego, nie podpisało się na ową zbawienną jedność z Kościołem św. stąd też trzecia część Rusinów pozostała nadal w odszczepieństwie, a ten zgubny rozłam w narodzie stał się powodem wielu zgubnych następstw. Carogród i Moskwa bowiem, nie mogąc przenieść bolesnej straty tylu współwyznawców, nasyłały ciągle różnych wichrzycieli, którzy podżegali trwających w schyźmie przeciw nawróconej braci. A jak zwykle w takich razach bywa, występowano wtedy głównie przeciw tym, od których lud moc wiary czerpał, przeciw kapłanom i biskupom.

Był naówczas arcybiskupem w Połocku człowiek wielkiego ducha, Józafat Kuncewicz. Ten święty biskup w sprawie Unii odznaczał się taką nadzwyczajną gorliwością, że go powszechnie nazywano „duszochwytem“. To też schizmatycy nie mogli patrzeć spokojnie na jego owocną działalność. Nasyłali nań przeto niejakiego Melecego Smotryckiego, człowieka uczonego, ale przewrotnego i nieprzejednanego wroga jedności z Kościołem rzymskim. Ten, podając się za prawowitego władykę połockiej stolicy, począł wichrzyć przeciw świątobliwemu arcybiskupowi, Józafatowi. Św. Józafat, widząc tak niebezpiecznego wilka w swojej owczarni, podwoił swą pasterską gorliwość i objeżdżając dyecezyę, zachęcał wszędzie lud do wytrwania w prawdziwej wierze.

Skoro atoli święty biskup przyjechał do Witebska, został przez schizmatyków, podburzonych przez Smotryckiego, okrutnie zamordowany.

Męczeńska krew tego „dobrego pasterza“ nie popłynęła jednak bezowocnie. Spełniło się bowiem znowu owo dziejowe prawo: „krew męczenników, jest nasieniem chrześcijan“. Na wieść o morderstwie świętego biskupa zbudził się w nowonawróconym ludzie duch pierwszych wieków chrześcijaństwa. Najzaciętsze w odszczepieństwie miasta: Połock i Witebsk, w przeważnej liczbie mieszkańców wróciły do jedności kościelnej i odtąd najwierniej w niej trwały. Sam nawet główny ich podżegacz i właściwy sprawca zbrodni na św. Męczenniku, samozwańczy biskup, Melecy Smotrycki, po kilku latach tułaczki na Wschodzie, nawrócił się i broniąc odtąd wytrawnem piórem dzieła św. Unii, umarł jako wierny syn Kościoła. — Co więcej? W kilkanaście lat później Unia św. liczy już na Rusi ośm biskupstw, na czele których stoją ludzie światli, bogobojni, a w jedności z Kościołem rzymskim niezłomni.

Pod pieczą tych „dobrych pasterzy“, gotowych zawsze za przykładem swego duchowego ojca „dać życie za owce swoje“ chlubnie urastała też owczarnia. Mnóstwo szlachty ruskiej, która w czasie tak zwanej „Reformacyi“ przyjęła była wiarę luterską, lub kalwińską, powróciło teraz na drogę prawdy, a ogół wiernych Rusinów, przenosił naówczas już trzy miliony.

Mało jednak widać było tej krwi męczeńskiej,

bo na Rusi Czerwonej i Czarnej, mrok odszczepieństwa jeszcze zalegał. Dbała jednak ciągle o dobro dusz swych poddanych Polska nie zapomniała i o tych dziedzinach. Wnet zjawiają się tam Jezuici, Franciszkanie i inni, którzy przebiegając z apostolskiem słowem wsi i miasta, niosą wszędzie światło wiary świętej. A między nimi najgorliwszy i najwięcej dusz dla Chrystusa Pana jednający, jest apostoł Pińszczyzny, bł. Jędrzej Bobola.

Ten świątobliwy sługa Boży, apostołując między odszczepieńcami w Balandyzie, Udrożynie, Pińsku i Janowie, gdzie całą ludność, a nawet i schizmatyckich popów do wiary św. ponawracał, doczekał się, w tej zbożnej pracy bardzo smutnych czasów. Skoro bowiem trwając wciąż w schizmie Kozactwo podniosło bunt przeciw Polsce i łącząc się z jej nieprzyjaciółmi Tatarami, Moskwą, Wołoszą i innymi pustoszyło w czasie owego strasznego „potopu“ jej wschodnie dziedziny, okrutnie prześladowało wszędzie wiarę katolicką, poczęły się dziać straszne rzeczy. Palono kościoły, mordowano księży, poniewierano Najśw. Sakrament i t. p. Ta straszna burza przeciągała też i przez Janów, kędy bł. Jędrzej nauczał. Wpadł tam oddział Kozaków, którzy wyciąwszy w pień wszystkich katolików, w końcu ich św. apostoła okrutnie zamordowali...

Ta krew męczeńska dopełniła dzieła. Tak bowiem użyźniła rolę Kościoła św. w Polsce, że wnet potem do jedności z nim przystają trwające dotąd w odszczepieństwie dyecezye: przemyska, lwowska i łucka. I odtąd już cały naród ruski, pozostający pod berłem Polski, stał się katolickim. Skoro bowiem w r. 1667, skutkiem grzymułtowskich układów cała Kijowszczyzna i Zaporoże, które owemu świętemu zjednoczeniu zawsze najwięcej się opierały, od Polski odpadły i nie było już komu podtrzymywać odszczepieństwa, wówczas i owe resztki odszczepieńców, którzy tu i ówdzie jeszcze się trzymali do jedności wiary powróciły. To też kiedy w r. 1720 odbywał się w Zamościu synod, na którym postanowiono o wszystkich sprawach życia kościelnego, zasiadali na nim już wszyscy biskupi ruscy.

Tak dokonała się ostatecznie sprawa jedności Kościoła św. w Polsce. W rozwoju tego świętego dzieła jednak spostrzedz się dają owe trzy zasadnicze pierwiastki dziejów powszechno-kościelnych: apostolstwo, męczeństwo i wyznawstwo. Snać zawsze i wszędzie tak dziać się musi. Wszak „królestwo Boże“ przypodobał Chrystus Pan do siejby, która naówczas tylko „stokrotny owoc wyda“, gdy ziarno, wrzucone ręką siewcy, na „dobrą rolę“ padnie; a nic ponoś tej „dobrej roli“ tak skutecznie nie przyprawi, jak krew. To też dzieło spełnione według tego Boskiego przepisu, wnet tak błogie wydało owoce.

Chrystus Pan jednak, ucząc w owej przypowieści o rozwoju Królestwa Bożego na ziemi wskazywał tylko na to, co do czynności ludzkiej w spełnieniu tego dzieła należy. Zamilczał zaś o tem, czego Sam w sposób niewidzialny wtedy dokonuje. To też św. Paweł Apostoł, objaśniając niejako ów ustęp Ewangelii św. powiada: „J a m s z c z e p i ł A p o l l o p o l e w a ł, a l e B ó g d a ł p o m n o ż e n i e, a t a k, a n i k t ó r y s z c z e p i ł j e s t c o, a n i k t ó r y p o l e w a, a l e k t ó r y p o m n o ż e n i e d a w a“ [1]).

W każdem dziele Bożem bowiem, podobnie, jak i w przyrodzie, gdzie wszystko rozwija się mocą cudu wszechmocy Boga, wszystko zależy od tej cudownej pomocy z nieba. Tak też było i w owem dziele Unii św. w Polsce. Polska „szczepiła“, bł. Józafat i Jędrzej „polewali“, a Bóg „pomnożenie dawał“.

Ufność w Bogu jedyna ostoja w przeciwnościach.

Jakoż dusza moja nie ma być poddana Bogu? wszak od niego zbawienie moje.

Wszak on jeden Bóg mój, i zbawiciel mój: on obrońca mój, nie zachwieję się ja bardzo.

Długoż wy wszyscy zwalać się będziecie na człowieka, aby go zabić? długoż nacierać nań będziecie jak na ścianę pochyloną i na walący się mur?

Usiłują wyzuć mię z godności, kochają się w kłamstwie: usty swemi błogosławią, a w sercu swem złorzeczą.

Ale ty, o duszo moja, bądź poddana Bogu: bo od niego czekam ja pomocy.

Bo on Bóg mój, i zbawiciel mój: on pomocnik mój, tułać się nie będę.

W Bogu zbawienie moje, i chwała moja: Bóg mi pomocą i w Bogu nadzieja moja.

Miej w nim nadzieję wszystek ludu mój: wylewajcie przed nim serca wasze: Bóg pomocnikiem naszym na wieki.

Zaiste marni są ludzie pospolici, zawodni są ludzie możni: położeni na wadze, dla próżności swej omylają wszyscy społem.

Nie polegajcie na bezprawiu, i nie pożądajcie rabunku: jeśli przybywa bogactw, nie przykładajcie serca do nich.

Raz rzekł Bóg na zawsze, te dwie rzeczy słyszałem odeń, że u Boga jest moc, i u ciebie miłosierdzie, o Panie: bo ty oddajesz każdemu według uczynków jego.

(Psalm 61 w przekładzie X. Arcybiskupa Symona).

[1]) Kor. III. 6. 6.

O żywocie wiecznym.

Henryk VIII. król angielski, zaślepiony nieuczciwą miłością ku pewnej damie dworskiej, żądał od Papieża, aby pierwsze jego prawe małżeństwo uznał za nieważne. Papież wszelako tego uczynić nie chciał i nie mógł, jako stróż sprawiedliwości i wierności małżeńskiej. Oburzony Henryk VIII. zerwał samowolnie prawe małżeństwo i ogłosił się „głową“ Kościoła angielskiego. Zobowiązał też wszystkich swych poddanych do złożenia tak zwanej „przysięgi supremacyi“, tj. najwyższej władzy. Sławny Tomasz Morus, od wielkiego papieża Leona XIII. w poczet Błogosławionych policzony, były wielki kanclerz koronny, nie chciał tej przysięgi złożyć, to jest, nie chciał Henryka VIII. uznać papieżem angielskim.

Król widząc, jak wielce opór Tomasza może zaszkodzić nowemu niby kościołowi, wszelkich używał środków, by go dla swoich zamiarów pozyskać; lecz prośby i obietnice były daremne. Przyjaciele przedstawili mu, że nie powinien być innego zdania, jak wielka rada całej Anglii.

— Ja mam za sobą cały Kościół, odrzekł starzec i wielką radę wszystkich katolików.

Żona jego zaklinała go, aby zachował swe życie dla niej i dla swych dzieci.

Morus, mający wtenczas lat 70, zapytał żonę:

— Wiele, mniemasz lat mógłbym jeszcze żyć na ziemi?

— Więcej, jak dwadzieścia — odpowiedziała żona.

— I za dwadzieścia lat życia ziemskiego mam utracić szczęśliwą wieczność?

Ta myśl o życiu wiecznem, dodawała męstwa starcowi 70-letniemu tak, iż wkrótce spokojnie oddał głowę pod miecz katowski i życie to nędzne, pełne cierpień, zamienił na wieczne i pełne rozkoszy.

Uroczystość pojednania na misyach w Albanii

Wśród Albańczyków panuje jeszcze dość powszechnie zwyczaj t. zw. „Krwawej zemsty“. Mniemają na mocy dawnej tradycyi, że, jeśli w rodzinie kogoś zabito lub zraniono, krewni jego mają obowiązek mścić krew zabitego lub zranionego przez zabicie lub zranienie któregoś z krewnych mordercy, choćby nawet w przyszłych dopiero jego pokoleniach. Ten zwyczaj wszelkiemi siłami zwalczają misyonarze, jako niezgodny z przykazaniem P. Jezusa o miłości nieprzyjaciół.

W przededniu Komunii Generalnej misyonarz przedstawia na kazaniu gorzką Mękę Zbawiciela, poczem wszyscy odnawiają postanowienia, uczynione w czasie Misyi św., tudzież obiecują, że będą z miłości ku Ukrzyżowanemu naśladować przykład Jego cierpliwości i miłości. Ze łzami w oczach oświadczają wszyscy, że są gotowi do ponoszenia wszystkich ofiar dla miłości Chrystusowej. Wieczorem po odprawieniu „Drogi Krzyżowej“ odbywa się kazanie o przebaczeniu uraz, którego od nas się domaga P. Jezus w przykazaniu o miłości nieprzyjaciół. Na końcu zwraca się misyonarz do wiernych z wezwaniem, aby z wdzięczności za przelanie krwi i ponoszenie ran Boskiego naszego Zbawcy przebaczyli szczerze i wspaniałomyślnie wszystkie doznane od bliźnich obelgi i krzywdy. Najpierw zwraca się misyonarz do chłopców, otaczających go najbliżej ołtarza, i pyta, czy z miłości ku P. Jezusowi, z miłości ku Jego Boskiemu Sercu, chcą przebaczyć wszystkim, którzy im jakąkolwiek krzywdę uczynili. Na dowód szczerej swej woli mają po trzykroć zawołać: „Przebaczamy!“ To samo wezwanie stawia potem starszym, i ci znowu po trzykroć powtarzają: Przebaczamy, przebaczamy, przebaczamy!“

W ogólnym tym akcie przebaczenia nie są jednak zawarte winy krwi, właściwe przyczyny nieprzyjaźni i zemsty, bo tu nie idzie o krzywdę osobistą, ale o pomszczenie przelanej krwi krewnych. Każdy wie o tem dobrze, i dlatego misyonarz musi wyraźnie wspominać o wyrzeczeniu się „krwawej zemsty“. Bierze tedy do rąk wizerunek Ukrzyżowanego i zaprasza zgromadzonych, aby, przystąpiwszy do ołtarza, złożyli wszystkie myśli mściwe i zamiary zemsty w Boskiem Sercu Jezusowem. Przejęci po kazaniu miłością Jezusa, wołają głośno: „Boże, bądź nam miłościw! Z miłości ku Najśw. Sercu Zbawiciela nie chcemy się mścić, nie chcemy popełniać morderstwa, kradzieży“ i t. d. Gdy przystępują do ołtarza, misyonarz zwraca się do pojedyńczych osób: „Co powiesz Ukrzyżowanemu swemu Zbawicielowi?“ — „Przebaczam mordercy mojego ojca!“ — odpowiada jeden i całuje na dowód swego silnego postanowienia ranę boku Chrystusowego na krzyżu misyonarza. — „Niech i tobie będą przebaczone wszystkie winy, jak przebaczasz winowajcom! Cześć ci!“ — Drugi, cierpiący może jeszcze z powodu świeżych ran mu zadanych, przystępuje do ołtarza. „Co ty powiesz P. Jezusowi, z miłości ku tobie przybitemu do krzyża?“ — „Przebaczam nieprzyjacielowi mojemu, który mię zranił, który mi dom spalił...“ Oczywiście nieraz trzeba długą staczać walkę, aby serce nakłonić do przebaczenia ciężkich zwłaszcza krzywd. Nieraz misyonarz musi uciekających z kościoła, którzy uporczywie trwają w nienawiści, szukać, jak pasterz dobry zgubionej owieczki, aby ich do przebaczenia namówić. W Giovagni, gdzie znajduje się stolica biskupia, misyonarz po kazaniu ostatniem ujrzał młodzieńca, którego ojciec został zabity, a który nie przebaczył dotąd mordercy. Z wizerunkiem

Ukrzyżowanego zbliżył się do niego, prosząc go, aby dla miłości Chrystusowej przebaczył. Atoli młodzieniec był dumny i nieubłagany; na wszystkie prośby odpowiadał zimno i stanowczo: Ojcze, nie mogę! Wobec dalszych jeszcze próśb kapłana chciał opuścić kościół. Wreszcie odrzekł: „Na rok chcę go zostawić w spokoju dla miłości Chrystusowej; więcej uczynić nie mogę i nie chcę“. Misyonarz nie dał za wygrane. Choć wielu, zwłaszcza matka i kobiety, w tym samym mieszkające domu, nalegały na niego, aby młodzieńca dalej nie przymuszał, gdyż krew ojca nie może pozostać niepomszczona, gorliwy kapłan wciąż nowe podawał pobudki do przebaczenia. Wkońcu zwyciężyła łaska Boża. Po 10-minutowej strasznej walce młodzieniec na znak przebaczenia ucałował krucyfiks. Kapłan kazał mu uklęknąć i pobłogosławił go. Wtem ktoś zawołał na księdza: „A teraz powinieneś też przekląć tych, którzy z tego młodzieńca będą się śmiać i drwić z powodu jego przebaczenia“. Odpowiedział na tę obelgę młodzieniec: „Owszem, niech się ze mnie śmieją: nie dbam o to. Nie z miłości bowiem ku ludziom, ale z miłości ku P. Jezusowi przebaczyłem mu z serca“.

Niech dziś każdy z nas przebaczy wyrządzone sobie krzywdy. (Ks. Matzel, Serce Jezusa).

Św. Jacek Odrowąż

(ur. r. 1185 † r. 1257).

Na rynku krakowskim, w obszernej kamienicy, ozdobionej herbem starożytnego rodu Odrowążów, ruch panował niezwykły. Służba uwijała się po sieniach, znosząc przybory podróżne, a liczne zastępy duchowieństwa i panów zdążały do komnat środkowych.

Biskup krakowski, Iwon Odrowąż, wybierał się do Rzymu w sprawach kościoła polskiego, a ponieważ była to w owych czasach podróż nielada, żegnali go wszyscy, jak gdyby go już więcej nie mieli zobaczyć.

W jednej z obszerniejszych izb zastawiono ciężkie dębowe stoły potrawami i napojami, a skoro srebrne rostruchany napełniły się starym miodem, zrobiło się rojno i gwarno. Obok biskupa zasiadło dwóch młodzieńców w kapłańskiem ubraniu. Oczy biesiadników bezustannie były na nich zwrócone; bo też było na co patrzeć, taki spokój, taka nieziemska błogość jaśniały z pięknych ich twarzy. Byli to rodzeni bracia: Jacek i Czesław Odrowąże, synowcy Iwona.

Ukończywszy nauki w Paryżu i Bolonii, przyjęli z rąk stryja święcenia kapłańskie, a obecnie zabierał ich biskup z sobą do Rzymu.

Uczta pożegnalna miała się już ku końcowi, gdy wszedł do izby niemłody, barczysty szlachcic, wiodąc za sobą dwóch młodzieńców.

— Witajcie nam, panie Bartłomieju z Tarnowa! — rzekł biskup, wyciągając ku niemu rękę.— Straciliśmy już nadzieję zobaczenia ciebie przed wyruszeniem w podróż!

— Miałem ja zawsze szczerą chęć złożyć moje pokorne służby Waszej Miłości!—odrzek p. Bartłomiej — ale gdy przyszło do wyprawienia z domu tych młodzieńców, nie mało było kłopotu z ich matką. Od dawna wprawdzie przeznaczyła ich do stanu duchownego, przecież nie łatwo jej przyszło teraz z nimi się rozłączyć. Zdaje mi się nawet, że wolałaby już była nie korzystać z łaski Waszej Miłości i widzieć ich raczej w Krakowie, jak w tej dalekiej podróży do nieznanego miasta. Skoro jej jednak przedstawiłem, ile światła spłynie na chłopców przez obcowanie z tylu zacnymi i uczonymi ludźmi, pogodziła się wkrótce z losem. Mamy zresztą jeszcze i czemś więcej się frasować, ja jako opiekun, ona jako matka, bo Przybysława z Podgórza musi w swem wdowieństwie oprócz nich wychowywać jeszcze czworo dziatek na pożytek Bogu i ludziom.

— Powiedzcie jej, — rzekł biskup, — że czuwać będziemy nad młodzieńcami, których nam powierza, aby kształcili się w bogobojności. Hermanie i Henryku! — dodał zwracając się do braci, którzy ściskali jego kolana — od dzisiaj będziecie towarzyszami mych synowców!

Niespełna rok pozostał Iwon z całym swym orszakiem w Rzymie. Synowie Przybysławy z Podgórza kształcili się przez ten czas w naukach duchownych, a Jacek i Czesław towarzyszyli wszędzie stryjowi. Myślano już o powrocie do Polski, gdy rozeszła się wieść, że głośny wówczas Dominik de Guzman, mąż, który już za życia uchodził za świętego, zamierza przybyć do Rzymu, aby starać się u papieża o potwierdzenie założonego przez siebie zakonu kaznodziejskiego.

Jacek i Czesław chcieli koniecznie poznać świętego męża i uprosili biskupa, aby jeszcze czas jakiś pozostać w Rzymie.

Święty Dominik był mężem pełnym mądrości i posiadał wdzięczną i bardzo gorącą wymowę. Gdzie się tylko pojawił, znajdował mnóstwo uczniów, chętnych do naśladowania wielkiej jego doskonałości. Zaledwie pokazał się w wiecznem mieście, już musiał przyjąć kilkunastu braci do swego zakonu. Pomiędzy innymi wstąpili za pozwoleniem Iwona także dwaj młodzieńcy, Herman i Henryk, którzy przybyli z biskupem do Rzymu.

Jacek i Czesław również pragnęli gorąco udać się z św. Dominikiem w dalekie kraje, aby nawracać niewiernych, ale stryj sprzeciwiał się temu, chcąc ich mieć zawsze przy sobie. Mimo to nie tracili nadziei, że go zdołają przebłagać.

Wracając pewnego dnia wraz z biskupem z gościny od kardynała Apuleone do swej gospody, spotkali ludzi niosących zwłoki synowca jego,

Stefana, jedynego syna pobożnej wdowy, który stracił życie wskutek upadku z konia. Tłum ludu zwabiony nieszczęśliwem zajściem, towarzyszył smutnemu pochodowi. Nadbiegła wkrótce i zrozpaczona matka z gronem wiernych domowników. Nagle ukazała się na przeciwnym narożniku ulicy poważna postać męża w białym habicie. Długa biała broda spadała mu na pierś, oczy jego świeciły natchnieniem, jak dwie gwiazdy w noc posępną.

— Zróbcie miejsce świątobliwemu Dominikowi! — wołano, rozstępując się przed nim z uszanowaniem. Usłyszała słowa te nieszczęśliwa matka i padając na kolana, odezwała się głosem, w którym dźwięczało jakieś przeczucie prorocze: — Mężu Boży, błagaj Pana, aby mi powrócił syna! On nie odmówi twej prośbie!

Zadrżał na to wezwanie starzec, jakby nie śmiał odważyć się na rzecz podobną, lecz po chwili, wzruszony widocznie rozpaczą kobiety, ukląkł i wzniósł ręce i oczy ku niebu.

Zrobiła się wielka, uroczysta cisza.

Przerwał ją nagle niezmierny okrzyk podziwu, pochodzący z tysiąca piersi. Zmarły młodzieniec powstał, jakby ze snu ciężkiego i rzucił się w objęcia matki, która padła zemdlona u nóg św. Dominika.

Po cudownem tem zdarzeniu, nie bronił biskup krakowski dłużej synowcom wstąpić w ślady męża, obdarzonego najwidoczniej łaską nieba. Za dobroć swoją został też wkrótce wynagrodzony. Św. Dominik bowiem, wysyłając kaznodziejów w obce kraje, przeznaczył Jacka do Krakowa i dodał mu do pomocy Hermana, podczas gdy Czesława wraz z Henrykiem wyprawił do Pragi.

Jacek i Czesław równocześnie udali się na miejsca swego przeznaczenia, głosząc słowo Boże w krajach, przez które przechodzili. W Tyrolu znaleźli tylu zwolenników, że założyli tam klasztor swej reguły, pozostawiając wielu uczniów.

Mieszkańcy Krakowa powitali Jacka z radością i postawili z pieniędzy składkowych kościół i obszerny klasztor dla nowego zakonu. Jacek umieścił tu braci i został ich przełożonym, a doskonałość jego zajaśniała teraz najżywszym blaskiem. Niezmordowany w pracy, na przemian uczył się, modlił, kazał, słuchał spowiedzi i nawiedzał chorych. Tak wielką chował w sercu miłość ku bliźnim, że kiedy się zdarzało czasem, iż nie mógł nic uczynić dla ubogich, płakał nad nimi i polecał ich Bogu w serdecznej modlitwie. Pogrążony w umartwieniach i postach, nie miał wyznaczonego miejsca na spoczynek i gdzie znużony pracą upadł, przespał się, aby co rychlej wrócić do pracy. Niekiedy noce całe spędzał na modlitwie w kościele.

Przysposobiwszy w Krakowie godnych siebie współpracowników, wyruszył do Kijowa, chcąc i w tamtych stronach szerzyć z korzyścią naukę Chrystusową. Powiadają, że z powodu wezbrania Wisły, musiał przerwać swą wędrówkę i nie znalazł się nikt, ktoby Jacka wraz z towarzyszami przeprawił łodzią przez wzburzone fale. Czyniąc znak krzyża świętego, powiódł wtenczas świątobliwy mąż wszystkich suchą nogą przez rzekę, ku zdumieniu licznie nad brzegiem zgromadzonego ludu.

Z niekłamaną radością przyjął wielki książę kijowski apostoła polskiego i dopomógł mu hojnie do zbudowania klasztoru dominikańskiego. Cztery lata zamieszkiwał w nim Jacek, nawracając koczujących w pobliżu Tatarów i rozkrzewiając gorliwie wiarę chrześcijańską w całej okolicy.

Z Kijowa udał się do Gdańska, gdzie założył klasztor, a nauką i bogobojnem życiem pobudził wielu ludzi do pobożności. Następne trzy lata przebywał w Sandomierzu, w klasztorze swej reguły, wzniesionym przez Adelajdę, siostrę Leszka Białego, poczem wrócił do Krakowa. Ucieszyli się znów rodacy z jego przybycia, lecz radość ta krótko trwać miała, albowiem zbliżał się czas wypoczynku po pracowitym żywocie.

W wigilię Wniebowzięcia Matki Boskiej, zwołał Jacek zakonników, mówiąc: „Jutro, najmilsi bracia, rozstanę się z wami!“

Przyjąwszy nazajutrz Sakramenta święte, oddał Bogu czystego ducha 16 sierpnia 1257 r.

Pobożny żywot i sława cudów sprawiły, że kanonizowany został przez papieża Klemensa VIII. 1604 roku.

Za Wiarę i Ojczyznę.

Po upadku Napoleona zebrali się w r. 1815 władcy europejscy w Wiedniu, aby zaprowadzić nowy ład między państwami. W imię nowego porządku dokonano ponownie na Polsce gwałtu... Rozszarpano bowiem znowu ową cząstkę naszej Ojczyzny, która pod nazwą „Księstwa warszawskiego“ powstała z ziemi, w każdej piędzi hojnie krwią, za Napoleońskich wojen okupionej, a z małego jej odłamku utworzono t. zw. „Królestwo polskie“, związane osobą panującego z Rosyą. Nowemu królestwu zapewniono wprawdzie, zupełny samorząd, ale tych zapewnień nie spełniono. Wielki książę Konstanty, sprawujący w imieniu cara rządy w tej nowej Polsce zaczął się dopuszczać różnych gwałtów i nadużyć.

I znowu przyszło do walki. Zapoczątkowane przez „Szkołę Podchorążych“ powstanie, objęło polskie wojsko i tysiące ochotnika, gotowego oddać życie, byle jeno Ojczyźnie wolność módz przywrócić.

Aczkolwiek jednak stoczono w tem powstaniu wiele zwycięskich bitew, a wojsko polskie okryło

się znowu nieśmiertelną chwałą, to jednak wroga nie zdołano pokonać. Wojska polskie musiały się w końcu poddać, a Moskale radzi z tego, iż polskie powstanie mogło ich usprawiedliwiać przed światem, tem straszliwiej później wszystko, co polskie, prześladowano.

Wnet atoli przebrała się miara polskiej cierpliwości i w r. 1863 naród ponownie z bronią w ręku upominać się począł o swe święte prawa. I znowu polała się krew nadarmo...

Dociekający przyczyn niepowodzenia w obu powstaniach, mówili: „Nie było dobrych wodzów". Inni znów prawili: „Nie było jedności". Inni wreszcie dodawali: „Nie było błogosławieństwa Boskiego". I jedni i drudzy i trzeci mieli słuszność, a największą ci, którzy w braku błogosławieństwa Bożego widzieli źródło wszystkich nieszczęść.

Pewna staruszka, unitka, do przeprowadzających zniesienie unii czynowników tak mówiła: „O, gdybyśmy byli wiedzieli, że wy nam wiarę będziecie zabierać, byliby wszyscy chłopi poszli do powstania (1863), a z wasby tu i jedna noga nie została". — Tem prostem powiedzeniem określiła owa wierna unitka wszystkie powody klęsk w tych dwóch powstaniach. Żadne z nich bowiem nie przybiera tego religijnego charakteru, jakim odznaczały się zawsze wszystkie wojny polskie. Niemasz w nich nawet owych głośnych haseł, ani jawnych znaków, w których zawsze królowała Marya. Temu też te powstania nie objęły całego narodu; ludowi bowiem za małem się zdało hasło „za Ojczyznę". Wszak on tej Ojczyzny naówczas jeszcze nie znał, boć ona za pasierba, a nie za syna go miała. Ówczesnym budzicielom narodowego ducha trzeba było wołać tak, jak wołano zawsze w dawnej Polsce „w imię Maryi za wiarę i za Ojczyznę", a wtedy zerwałby się był ten uśpiony lud-olbrzym i Ojczyzna byłaby wolna.

Na to święte hasło wspomniał jednak naród dzisiaj. Oto bowiem z początkiem obecnej wojny wszędzie jedno jeno słyszałeś: „za wiarę i Ojczyznę". „Za wiarę i Ojczyznę" pisali na kolejowych wozach polscy żołnierze, wcieleni do „wojsk austryackich". „Za wiarę i Ojczyznę", odpowiadali im bracia z pruskich pułków. „Za wiarę i Ojczyznę" gromko wołali Legioniści, którzy pod znakiem białego orła i Częstochowskiej Panienki na ochotnika w święty bój poszli. A poszli wszyscy. W domu zostały jeno kobiety, starcy i nieletnie dzieci. Poszli z imieniem Maryi na ustach i miary usprawiedliwienia win ojców dopełnili. Z oparów ich ofiarnej krwi powstaje wolna Polska.

O polska kraino! Gdyby ci rodacy,
Co za Ciebie giną, wzięli się do pracy,
I po garstce ziemi ojczystej zebrali,
Jużby dłońmi swemi Polskę usypali!"

Tak biadał Wincenty Pol, na widok daremnego rozlewu polskiej krwi w ostatnich powstaniach. To samo powtarzali za nim różni, gdy z początkiem obecnej wojny, kto jeno mógł za broń chwytał. Nie wierzono w orężne powodzenie polskiej sprawy. Czy mieli słusznie, to późniejsze czasy osądzą. To jeno pewne, że w nieodgadnionych wyrokach Bożych potrzeba widać było tej ofiarnej krwi na zmycie winy ojców, skoro oto tej chwili właśnie, kiedy tej krwi najwięcej się polało, Ojczyzna wolna powstaje.

Teraz atoli w imię owego wezwania poety z tej ziemi, tak obficie krwią nasiąkłej, Polskę sypać nam trzeba. Do pracy zatem! Do pracy za przykładem tych, którzy pierwsi na obronę Ojczyzny się zerwali. Imając się pługa codziennych obowiązków w dziele odbudowy Ojczyzny, mówny na każdy dzień:

„Przy Twym o Panno miłosierdzia tronie,
Spoczynek na Twem macierzystem łonie:
Ratuj rycerstwo pracujące w boju,
A po wygranej użycz nam pokoju!"

Pan Jezus w N. Sakramencie zwycięża.

— Miałem lat 26, — opowiada pan Jerzy L.— gdym przybył do Lyonu i tam pierwszy raz słyszałem o proboszczu z Ars, księdzu Vianney. Opowiadano mi, że jego konfesyonał jest w ciągłem oblężeniu, że całe gromady ludzi nawet z dalekich okolic garną się do spowiedzi u niego. Jako u sławnych lekarzy lub w sławnych uzdrowiskach szukają ludzie zdrowia ciała, tak u niego szukali ludzie uzdrowienia duszy.

Przyszło mi tedy na myśl, pojechać do Ars. Udałem się więc pewnego dnia w listopadzie do Ars, więcej z ciekawości jak z nabożeństwa, bo mi nawet na myśl nie przyszło aby się tam spowiadać. Przyszedłszy do kościoła, ujrzałem około stu ludzi przeważnie mężczyzn przy konfensyonale proboszcza.

Powróciwszy do hotelu, chciałem właśnie zjeść obiad, gdy gospodarz mnie zapytał, czybym nie chciał razem z jakimś księdzem obiadować?

— I owszem, czemu nie? — odpowiedziałem. W pięć minut potem siedziałem przy stole naprzeciwko jakiegoś podeszłego kanonika. Rozmowa, rozumie się, toczyła się około spowiednika z Ars.

— Czy ksiądz kanonik sądzi, — zapytałem, — że istotnie ks. proboszcz Vianney jest tak doświadczonym spowiednikiem, jak mówią?

— Nie wiem — odrzekł — czy jest doświadczonym spowiednikiem, jabym myślał, że on jest pełen Ducha Bożego. Ten mąż ma tajemniczy dar usuwania wszelkich wątpliwości i nawracania ludzi najgłębiej upadłych w sposób dziwny i prawie

cudowny. Zresztą pan sam doświadczysz i będziesz mógł własny sąd wydać.

— Zdaje się, że nie, — odrzekłem uśmiechając się, — gdyż nie mam wcale zamiaru spowiadania się.

— To pan może nie dobrze czyni — odrzekł kanonik krótko; i mówiliśmy o czem innem.

Wieczór tego samego dnia, o godzinie 10 odszedłem od konfensyonału proboszcza z Ars.

— Czy mieszkasz w rodzinnem mieście? — zapytał mnie ten święty kapłan, nim mi udzielił rozgrzeszenia.

— Tak jest, mój ojcze — odrzekłem.

— Więc cię tam wszyscy dobrze znają?

— Rozumie się.

— Więc dobrze! za pokutę zadaję ci, abyś teraz, nim wyjdziesz z kościoła, wzbudził akty wiary, nadziei i miłości. Ale to nie wszystko. Prócz tego, w uroczystość Bożego Ciała będziesz na jednej z procesyj i to tak, że pójdziesz zaraz za kapłanem, niosącym Najśw. Sakrament. A teraz idź w pokoju mój synu.

Aby przyczynę takiej pokuty zrozumieć, trzeba dodać, że w wielu okolicach Francyi mężczyźni, zwłaszcza z klas wykształconych, zupełnie się usuwają od objawów zewnętrznej czci Bożej.

W innym czasie, w innym kościele, innego kapłana prosiłbym usilnie, aby mi tę drugą część pokuty zamienił na inny dobry uczynek np. na jakie modlitwy, albo na jałmużnę, ale w tej chwili szacunek dla kapłana i wewnętrzne wzruszenie zamknęły mi usta.

Kanonik miał słuszność; proboszcz był nadzwyczajnym spowiednikiem. Umiał trafić w samo sedno, dotknął najgłówniejszej rany mej duszy, a tą raną był wzgląd ludzki czyli fałszywy wstyd. Obowiązując mnie do spełnienia tak jawnego aktu religijnego, jakim był udział w tej procesyi w mieście mem rodzinnem, zadał mi gorzkie i gwałtowne lekarstwo, na które cała moja natura się wzdrygała, którę jednak właśnie dlatego miało być dla mnie najskuteczniejsze. Tymczasem pocieszałem się myślą, że do tej straszliwej pokuty jeszcze mam sześć miesięcy.

Procesya Bożego Ciała jest jednym z najwznioślejszych objawów wiary katolickiej. W niektórych krajach i niektórych wielkich miastach przybiera ona postać iście majestatyczną. Widziałem, jak za baldachimem, który osłania Najśw. Sakrament, postępowały najwyższe władze cywilne w pełnym karmazynowym stroju, dwu lub trzech jenerałów ze swymi adjutantami, namiestnik kraju, burmistrz z całą swą radą, czterystu lub pięciuset szlachty i zacnych obywateli, którzy do najwyższego towarzystwa się zaliczali. Nawet najbardziej lekkomyślny i oziębły chrześcijanin może bez wahania przyłączyć się do tego czcigodnego pochodu. Na nieszczęście w mojem mieście rodzinnem tak nie było. Mężczyźni zupełnie się usunęli wyjąwszy szkolnej młodzieży i kilkudziesięciu rzemieślników, którzy do bractw kościelnych należeli, żaden mężczyzna nie pokazał się na procesyi.

Choć w ten sposób procesya mniej była świetna, to zbiegowisko było tem większe. Mieszkańcy miasta przyglądali się pochodowi z okien lub zapełniali tłumnie ulice miasta. Cóż sobie pomyślą, co powiedzą ci wszyscy, gdy tego tak światłego i postępowego Jerzego L. ujrzą na procesyi zaraz za N. Sakramentem idącego? Na samą myśl o tem, zimny pot na czoło me występował. A jednak najmocniej wierzyłem w rzeczywistą obecność P. Jezusa w Najświętszym Sakramencie; czułem w głębi serca, że wszyscy monarchowie świata spełniliby tylko swój obowiązek święty, gdyby boso, posypawszy głowy popiołem, szli za swym Bogiem ukrytym pod postaciami Sakramentalnemi.

Tymczasem zbliżył się ten dzień uroczysty Bożego Ciała. Procesya zaczyna się u nas po nieszporach. Chcąc sobie dodać odwagi, poszedłem na nieszpory, czegom dotąd nigdy nie czynił, i stanąłem sobie umyślnie blizko ołtarza. Ale cóż się dzieje? Jakaś znajoma mi pani prawdopodobnie przypadkiem rzuciła okiem w tę stronę gdzie ja stałem. W tej chwili zdawało mi się, że cały kościół na mnie patrzy, że ja sam jeden jestem przedmiotem uwagi wszystkich, że duchowieństwo, przełożony kościoła i zakrystyan, że wszystkie pobożne damy, kobiety i dzieci szeptają:

— Patrz, patrz, pan L.! Czego on tu chce?

Ta myśl tak mnie zmięszała, żem nie zauważył, że procesya już się ustawia i już zaczyna z kościoła wychodzić. Kapłan z Najśw. Sakramentem przeszedł koło mnie, jam nie miał odwagi przyłączyć się i odłożyłem straszną pokutę do przyszłej niedzieli.

Przebacz o mój Boże! Tak jest, był czas, w którym nieoszacowaną łaskę, jaką Ty nędznemu grzesznikowi wyświadczasz, iż mu pozwalasz towarzyszyć sobie, uważałem za służbę niewolniczą.

Następnej nocy miałem gorączkę, której przyczyną było zapewne rozdrażnienie. Czyżby można uwierzyć? — Cieszyłem się z tej gorączki, życzyłem sobie, aby się wzmogła, aby się przedłużyła, aby mnie do łoża albo przynajmniej do pokoju przykuła na cały przyszły tydzień. Do rzeczy niemożliwej nikogo obowiązać nie można, a przeto byłbym uwolniony od obowiązku uczestniczenia w procesyi.

Ale gorączka minęła i nie powtórzyła się, a niedziela zbliżała się szybko. W życiu całem żaden tydzień nie wydał mi się tak krótkim, jak ten. W niedzielę, wyznaję to na moje zawstydzenie, ucieszyłem się bardzo, gdy ciemne chmury ze wszech stron zaczynały się powoli gromadzić na

niebie. Nastąpił deszcz ulewny z gradem — zapewne, myślałem, procesyi nie będzie.

Lecz procesya się odbyła; ja raczej umarły jak żywy postępowałem za baldachimem. Choćbym sto lat żył, nie zapomnę nigdy tych dwu godzin, które wtenczas przeżyłem. Z czoła lał mi się pot zimny, nogi chwiały się pode mną. Od czasu do czasu wzbudziłem akt wiary i starałem się modlić. Ale tylko usta bełkotały modlitwy, postanowiłem sobie ani na chwilkę głowy nie podnieść i byłem wierny temu postanowieniu.

Po dwu tygodniach niespodzianie odwiedził mnie pan S..., mąż dla swego wykształcenia, zręczności i odwagi w wyznaniu swych zasad, bardzo ceniony. Bez ogródek zrobił mi propozycyę, abym z nim i jednym z jego przyjaciół założył w mieście stowarzyszenie św. Wincentego. Można sobie wystawić, ile trudności mu robiłem, ale on z zupełną pewnością zwycięstwa zawołał:

— Co? Pan masz tyle odwagi na wyznanie wiary i tyle pobożności, że sam jeden byłeś na procesyi, a nie miałbyś się do nas przyłączyć?

Poddałem się wreszcie i obiecałem przystąpić. Tak na drodze do dobrego jak i do złego tylko pierwszy krok wymaga ofiary.

Wsparty przez dwu odważnych katolików, wzmocniony świętymi Sakramentami, które odtąd za przykładem mych przyjaciół co miesiąc przyjmowałem, powoli pozbyłem się nieszczęśliwego względu ludzkiego. W przeciągu dwu lat udało się nam założyć stowarzyszenie św. Wincentego, do którego trzydziestu młodych ludzi z najlepszych i pierwszych rodzin kraju się przyłączyło.

Niedawno wszyscy razem byliśmy przytomni na obu procesyach Bożego Ciała idąc zaraz za baldachimem. Uczyniliśmy to ze świętą radością, a jeśli mi wolno innych podług siebie sądzić, z pewną świętą dumą.

Ocalony.

Dobra już godzina, jak zapadła noc. W całej przestrzeni czuć jakby surowy zapach rosy. W bledziuchnem świetle gwiazd majaczy rozległa pustynia, jakich niemało dzisiaj jeszcze w Ameryce. Z jednego miejsca błyska w ciemną noc kilka świateł, wychodzących widocznie z okien domostw, stojących na farmach. W jednym z tych domków na krańcu farmy, przy świetle lampy widać młodą jeszcze kobietę, schyloną nad łóżkiem, na którem leży młody jeszcze człowiek blady, z kroplami potu na czole — widocznie ciężko chory.

Dziwne losy zagnały tych dwoje i jeszcze jedną osobę, którą też poznamy, tutaj.

Pochodzili z Galicyi, z pod Przemyśla. Przed 6-ciu laty opuścili rodzinną wioskę. Dwie siostry udały się do Ameryki na zarobek, a brat do Rumunii — stamtąd zawędrował aż do Konstantynopola i aż do Jerozolimy, a stamtąd wśród rozmaitych przygód do Ameryki, gdzie dziwnym trafem odnalazł swoje siostry, z któremi zaczął pracować na farmie. Wiodło im się nie zgorzej, tylko w jednem nie mogli się zgodzić. Siostry były pobożne, modliły się, jeździły do odległego o milę polskiego kościoła, sprowadzały sobie nawet z Krakowa „Posłańca Serca Jezusowego“ — ot właśnie widać go na stole z pięknym obrazkiem Serca Jezusowego; — ale brat w swojej kilkoletniej wędrówce zagubił gdzieś pobożność i wiarę... o tem, żeby mówić pacierz a jeszcze do kościoła pojechać — ani sobie mówić nie dał. Modliły się biedaczki do Serca P. Jezusa, odprawiały nowenny o nawrócenie jego — wszystko jednak zdawało się naprożno.

A przecież pamiętają... w kraju był pobożnym— nawet prowadził pielgrzymki do Kalwaryi Pacławskiej — a teraz ani śladu tego wszystkiego.

Aż dziś trzeba było nieszczęścia. Przy robocie usunęło się drzewo i okropnie go potłukło. Ledwo żywego przynieśli sąsiedzi do domu. Od kilku godzin stracił przytomność — o doktorze ani myśleć... siostra starsza pojechała po księdza, żeby tylko przyjechał, a chory oprzytomniał!... bo kto wie, czy do rana dożyje. Gorączka widać się wzmaga, chory mówi jakimś niezrozumiałym językiem, rzuca się w jakimś strachu... oj Boże! żeby to nie było jakieś opętanie — albo co? bo to do takich i szatan ma przystęp. — Jużby i ksiądz z P. Jezusem powinien nadjechać.

Rzeczywiście poprzez ciemną noc dał się słyszeć głos dzwonka... wreszcie wóz stanął przed domem — po chwili wszedł ksiądz z Najśw. Wiatykiem, a za nim kupka sąsiadów z poblizkich farm.

Właśnie chory rzucał się w gorączce i zaczął bezładnie szeptać: „Ad Deum, qui laetificat iuventutem meam“.. „Gwiazdo śliczna wspaniała“...

Poznał ksiądz, że to nie żadne opętanie, jak się siostry chorego obawiały, ale nieszczęsny w gorączce widać majaczył, jakby służył do Mszy św. i przepowiadał ludziom w pielgrzymce, jak to kiedyś robił.

Żeby mu też wróciła przytomność!

Obecni poklękali i zaczęli się modlić do Najśw. Serc Jezusa i Maryi i do obecnego choć ukrytego w Hostyi, P. Jezusa.

Tymczasem ksiądz, Polak, także rodem z Galicyi, doświadczony już w takich wypadkach, wyjął spory proszek chininy — wcisnął przemocą prawie do ust choremu — ten się zakrztusił i przełknął — i dziwna rzecz, zaraz zaczął się uspokajać. Na polecenie księdza zaczęli obecni śpiewać cicho znaną im z kraju pieśń: „Gwiazdo śliczna wspa-

niała, Kalwaryjska Marya". I oto chory otworzył oczy i oprzytomniał...

Wspomnienia dawnych lat widać odżyły w nim z melodyą pieśni do Najśw. Panienki, do której biedak mimo wszystko, zawsze był nabożny. Ze źrenic zaczęły mu się toczyć wielkie łzy. Wyspowiadał się najszczerzej i przyjął ostatnie Sakramenta św.

Ale nie koniec łaski Bożej. Po godzinie wystąpiły poty i widocznie to chorego uratowało.

Trzeba jednak było aż takiego wypadku, by się zbłąkana dusza zwróciła napowrót do Bożego Ojcowskiego Serca. A więc nie daremne były modlitwy i nowenny do Najśł. Serca pobożnych Sióstr — przez Serce Maryi, której kiedyś biedny grzesznik służył i Ją chwalił, — ocaliło go na duszy i na ciele Serce Jezusowe!

Umarłych grzebać.

Za czasów św. Ottona, biskupa bamberskiego, zdarzyło się, że straszny zapanował głód, a wielu ludzi z głodu pomarło. Otto czynił co mógł, ale przy najlepszej woli nie mógł wszystkiemu podołać. Razu jednego podróżował po dyecezyi ze swym służącym; nagle stanął, wskazał palcem w jedną stronę i rzekł:

— Widzę, że tam leżą zwłoki ludzkie.

Poszli tedy przez pole i obaczyli na płocie umarłą kobietę, która częścią od ptactwa drapieżnego poszarpana, częścią już była w rozkładzie. Skoro biskup ją ujrzał, uderzył się w piersi i uważał to za znak swego niedbalstwa, mówiąc, że na nią nie uważał, podczas gdy sam dosyć miał chleba i innych potraw. Następnie odprawił nad zwłokami krótką modlitwę za duszę zmarłej, potem zabrał się wraz ze służącym, by ją podnieść i na uczciwe miejsce zanieść, aby ją pogrzebać. Służący widząc to zawołał:

— Niech wasza biskupia mość nie kala tym trupem swych rąk poświęconych. Ja pobiegnę i innych ludzi zawołam, a potem ją pogrzebiemy.

— Broń Boże — rzekł Otto — abym się miał brzydzić siostry, córki Kościoła. Ja umarłą zaniosą do grobu, kiedym się o nią nie starał. Ciebie tylko proszę, byś mi nieco pomógł, a zapewniam cię, że i Bóg ci zapłaci i ja.

Zatkawszy sobie nos, pomagał służący biskupowi nieść trupa i pogrzebać, ale twarz miał odwróconą.

Co Święci z taką troskliwością spełniają, jest pewnie rzeczą Bogu miłą.

Wdzięczność.

Felicyan Szaniawski syn Piotra, szlachcica z Szaniawy, straciwszy ojca, a będąc w szkołach krakowskich zmuszony był jak inni żacy korzystać z miłosierdzia bliźnich, a zwłaszcza zakonników Reformatów. Dawali mu oni codzień obiad, po który przychodził z glinianym garnuszkiem. Ujrzał go raz w klasztorze starosta Łętowski, a że chłopak mu się podobał, rzucił mu do garnuszka nowiuteńki dukat, zachęcił do dalszej pilności a potem rzekł z uśmiechem: Słuchaj młodzieńcze! tego dukata pożyczam ci tylko. Mam nadzieję, że zostaniesz biskupem krakowskim, a wtedy dasz mi w dzierżawę klucz radłowski. — Obiecał nadto zająć się młodszym bratem Felicyana. Felicyan odesłał dukata matce z listem, aby młodszy brat przyjeżdżał do Krakowa. Łętowski wziął ich przez czas nauk szkolnych w szczególną opiekę.

Upłynęło lat 30 od owej chwili. Starosta Łętowski utraciwszy niemal cały majątek, żył prawie w nędzy w ubogim dworku na jednej z odległych ulic. Wtem przybywa dworzanin nowego biskupa, który zjechał był do Krakowa i wzywa starostę na ucztę. Biskup przyjął Łętowskiego z uszanowaniem wielkiem i przy obiedzie posadził go obok matki na drugiem miejscu, choć był ubogo ubrany. — Rozpoczął się obiad. Wkrótce przynieśli hajducy wielką srebrną wazę i postawili przed biskupem, który zdjąwszy pokrywę, wydobył z środka gliniany garnuszek, z jakim niegdyś chodził do furty klasztornej po obiad i odezwał się w te słowa: Dostojni goście! Na pierwszem miejscu przy stole posadziłem matkę, która dała mi życie i wychowanie. Drugie miejsce należy się memu dobroczyńcy, On to zachęcał mnie do wytrwania w naukach i do tego dzbanuszka wrzucił dukata. Bracie, starosto Łętowski, czy pamiętacie, jaki daliście warunek? „Wypuścisz mi klucz radłowski, jak zostaniesz biskupem krakowskim". — były wasze prorocze słowa. Oto spełniam warunek. Przyjmij dokument, mocą którego w dożywocie, za bardzo umiarkowaną cenę, wydzierżawiam ci klucz radłowski.

Rozpłakał się Łętowski. Z biedaka stał się panem. Bóg wynagrodził go za dobry czyn. Zalawszy się łzami złożył starosta najczulsze podziękowanie wdzięcznemu biskupowi.

Szaniawski swe dochody obracał przeważnie na wspieranie podupadłych rodzin i na wspomaganie uczniów. Konwikt z bezpłatnymi miejscami dla 10 uczniów istnieje dotąd w Siedlcach.

Nawrócenie.

Gdy święty Augustyn, wzruszony słowy i łzami swej matki Moniki, myślał szczerze porzucić nieporządne swe życie, straszna walka powstała w jego duszy. Przerażało go własne postanowienie, wola jego się chwiała.

— Chciałem — mówi — i nie chciałem. Byłem jakoby podzielony na dwie części, z których je-

dna i druga była mną samym. Wstrząsałem łańcuchem, którym byłem związany, nie mogąc go porwać, chociaż prawie do niczego nie był przywiązany. Namiętności i złe nałogi moje stawały mi przed oczyma, mówiąc: Czy sądzisz, że się bez nas obejdziesz? Z drugiej strony przedstawiała mi się cnota z czystemi swemi powabami: wyciągała do mnie ramiona, i pokazywała mi mnóstwo Świętych, którzy się w niej ćwiczyli. W tym świetnym orszaku rozróżniałem osoby różnego wieku: dzieci, młodzieńców, dziewice, szanowne wdowy i panny, co w czystości posiwiały. Cnota mówiła mi tonem, który pobudzał mą odwagę: Tybyś nie potrafił tego, co tamci i tamte? Nie potrafiłbyś tego, co potrafiło tylu innych, słabszych od ciebie? Czyż oni własnemi siłami raczej, jak przez łaskę Pana to potrafili? Rzuć się zatem w objęcia twego Boga, On cię przyjmie i uleczy twe rany.

Wtedy to potok łez zalał oblicze Augustyna; upadł na ziemię błagając o miłosierdzie Boże.

Skończywszy modlitwę, poszedł do ogrodu, i usiadłszy na ustroniu pod figurą, puścił wodze swym łzom. Podczas gdy płakał, mając zawsze serce ku Bogu wzniesione, usłyszał jakoby głos dziecięcia, który mówił śpiewając:

— Bierz i czytaj! bierz i czytaj! — Odwróciwszy się, nie widział nikogo, ale wzrok jego padł na listy św. Pawła. Otworzywszy je ujrzał te słowa: „Nie w biesiadach i pijaństwach, nie w łożach i niewstydliwościach, nie w zwadzie i zazdrości, ale się obleczcie w Pana Jezusa Chrystusa, a starania o ciele nie czyńcie w pożądliwościach".

Nie trzeba było więcej; Te Boskie słowa rozlały światłość w jego sercu, pokój i energię. Nie cofając się, współdziałał z łaską i oddał się Bogu bez zastrzeżeń i ujmy; poszedłszy do swej matki Moniki, objął ją czule i rzekł:

— Moja matko, otrzyj łzy, syn twój się nawrócił.

Pocieszony wyrobnik.

Rok 1847 był dla wielu ciężkim rokiem. Drogie było zboże, a więc i chleb. Dwaj robotnicy pracowali obok siebie. Jeden z nich był wesoły i śpiewał, drugi był smutny i chodził jak struty. Zapytany od tamtego, dlaczego taki smutny, odrzekł:

— Ach, ja mam pięcioro dzieci, a chleb taki mały. Już mi się życie sprzykrzyło; muszę myśleć, że już Boga niema na niebie.

Drugi mu na to:

— Patrz, ja mam siedmioro dzieci a do tego jeszcze chorą żonę. A jednak w tym przykrym czasie ta myśl mnie pociesza: Już siedmnaście lat jestem na swojem, a jednak Bóg zawsze dopomógł.

Tamten, słysząc to, zbudował się ze swego towarzysza, dziwnie został pocieszony i rzekł:

— Jeśli ty z siedmiorgiem dzieci nie rozpaczasz, to i ja nie będę — wszak P. Bóg dopomoże!

Patrz, najmilszy, jak łatwo pocieszyć strapionego! Idź i czyń podobnie! Zachęcaj swych bliźnich do wiary i ufności w Boga i do wytrwania w wierze, a dziwną pociechę wlejesz w jego serce!

Jak kubek świeżej wody spragnioną duszę ochładza, tak słowo pociechy smutnego!

WYDAWCA: KS. KAROL NIKIEL. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA.

Drukarnia „Głosu Narodu" w Krakowie.